

Przejeżdżanie granic

Kasia Szewczyk: W latach 2001-2008 studiowałaś w Żytawie tłumaczenia z czeskiego, angielskiego i niemieckiego. Dlaczego zdecydowałaś się na studia w Niemczech, a nie w Czechach?

Michał Beckert: W Żytawie była ciekawsza kombinacja fakultetów. Gdybym został w Czechach, miałbym do wyboru albo niemiecki, albo angielski. W Niemczech była możliwość studiowania dwóch języków zagranicznych. Było to blisko domu, ale jednak studiowało się bezpośrednio w innym państwie. Dostałem się też na studia do Brna i Ołomuńca, ale ostatecznie zdecydowałem się na Niemcy.

Dojeżdżałaś na studia każdego dnia?

Na początku tak. Potem, kiedy pisałem pracę magisterską, nie musiałem być na uczelni codziennie. Jeździliśmy ze znajomymi samochodem, ale czasami też pociągiem.

Dłuższy okres Twoich studiów przypada jeszcze na okres przed podpisaniem przez Polskę i Czechy Układu z Schengen. Jak wtedy wyglądało przekraczanie granic? Codziennie musieliście przekroczyć dwie: najpierw czesko-polską, a następnie polsko-niemiecką.

Pierwsza kwestia, to jakość pociągów z tamtego czasu. Były naprawdę straszne. Z przekraczaniem granic w pociągu nie było większych problemów. Kontrolerzy sprawdzali bilety i szli dalej. Gorzej było z jazdą samochodem. W zasadzie problemów na granicy polsko-czeskiej nie mieliśmy. Zdarzały się na polsko-niemieckiej. Bywało, że Polacy dłużej trzymali nas na granicy. Widzieli, że jedzie grupka młodych ludzi, kazali nam pokazać, co mamy w plecakach, mówili: „otwórcie bagażnik”.

To chyba już znam Twoje ulubione polskie słowa.

Jeszcze była: „zielona karta”. My ostro klęliśmy na tych celników. Mówiliśmy, że Polacy to nacjonaliści, którzy tak silnie chronią swoich granic. Ale jak jechaliśmy na studia i spotykaliśmy Polaków- studentów, to śmialiśmy się, że to dwie różne narodowości. Po podpisaniu Układu z Schengen zdarzały się jeszcze kontrole, ale już rzadko.

W Żytawie studiowali z Wami też Polacy. Często się spotykaliście?

Na studiach mieliśmy i Polaków, i Niemców. Polacy studiowali tłumaczenia z polskiego, angielskiego i niemieckiego. Razem chodziliśmy na wykłady dotyczące angielskiego i niemieckiego. Na początku ich grupa liczyła ok. 12 osób. Po pierwszym roku kilka osób nie zdało. Pamiętam, że z Polakami te kontakty były bardzo serdeczne, chętnie ze sobą rozmawialiśmy. Spędzaliśmy wspólnie czas podczas przerw. Nawet dwa razy przyjechali do nas, do Liberca, na imprezę.

Była jedna wyraźna różnica pomiędzy Polkami i Czeszkami: ubiór. Było to całkiem interesujące. Polki o wiele bardziej dbały o to, jak wyglądają, czasami wręcz przesadnie. Dużo z tych dziewczyn było

naprawdę ładnych, ale wyglądały trochę jak Barbie. Miały na sobie za dużo makijażu. Podobnie myśleli też o nich sami Polacy.

W jakim języku porozumiewaliście się? Wszyscy znaliście minimum dwa języki obce. Czy mimo to Polacy i Czesi starali się mówić między sobą po polsku i czesku?

Muszę powiedzieć, że jednak więcej po niemiecku. Rozmowa po niemiecku była łatwiejsza, kiedy chcieliśmy porozmawiać o czymś bardziej skomplikowanym. Podstawy polskiego i czeskiego rozumieliśmy, ale potem były już trudności. Najczęściej pytaliśmy się o to, jak brzmi jakieś słowo po polsku i odwrotnie. Pamiętam, że Polacy mówili nam spolszczone czeskie słowa i starali się je nam wytłumaczyć. Kiedy zrozumieliśmy ich punkt widzenia, to faktycznie było to śmieszne. Wtedy znaliśmy sporo polskich słówek, ale potem wyleciały z głowy.

A gdybyś miał porównać relacje czeskich studentów z niemieckimi i polskimi?

Muszę powiedzieć, że relacje z Polakami od początku były fajne. Byli nam bliżsi, bo pod względem charakterów byliśmy do siebie bardziej podobni. Polacy są weseli, chętnie rozmawiają, razem się śmialiśmy. Niemcy potrzebują więcej czasu, aby się do kogoś przyzwyczaić, nie zawsze są to bliższe relacje. Oczywiście, to zależy od człowieka, ale jednak Polacy są przyjemniejsi już od początku. Kontakty były bardziej bezpośrednie. Mniej więcej rozumieliśmy się też, używając naszych własnych języków.

Jeszcze w czasach studenckich byłeś pilotem niemieckich wycieczek. Jeździłeś z nimi do przygranicznych polskich i czeskich miast. Jak to się stało, że zostałeś pilotem?

Jedno niemieckie biuro turystyczne miało umowę z tutejszą czeską firmą, która takie wyjazdy organizowała i mnie zatrudniła. Jeździłem z Niemcami po Polsce i Czechach, po przygranicznych miastach i miasteczkach. Zwiedzaliśmy zamki, stare kościoły i różne historyczne miejsca. Byliśmy np. w Jeleniej Górze, Bogatyni, Lwówku Śląskim czy Szklarskiej Porębie.

Jak wspominasz wycieczki do Polski?

Bardzo lubiłem tam jeździć. To było jeszcze przed Schengen. Zdarzało się, że celnicy szybko puszczali nas dalej, ale byli i tacy, którzy robili bardzo dokładne kontrole. Sprawdzali każdego i to całkowicie psuło nam zaplanowany wcześniej program zwiedzania.

Zdarzały się też zabawne sytuacje. Na przykład, kiedy polski przewodnik nie mógł przyjechać na oprowadzanie po jednym z zamków i musiałem to zrobić sam. Nie mieli tam materiałów w innym języku, niż po polsku. Dali mi więc polski tekst i powiedzieli: „Niech Pan oprowadza”. Musiałem wtedy tłumaczyć z polskiego, na niemiecki. Na szczęście, nie byłem tam po raz pierwszy i mniej więcej wiedziałem którędy pójdziemy i o czym opowiadać. Szedł z nami jeden pracownik zamku, ale on tylko pokazywał drogę.

A co w sytuacjach, kiedy Niemcy zapytali Cię o coś, czego nie wiedziałeś?

Pytali, oczywiście. Najczęściej o jakąś genezę albo daty. Wtedy bywało, że dogadywałem się „rękami i nogami” z Polakami, żeby się tego dowiedzieć.

Czy było coś, co szczególnie spodobało Ci się podczas tych wycieczek?

Polacy byli bardzo gościnni i przyjaźni. Kiedy jeździłem z niemieckimi wycieczkami do Was, to zdarzało się, że dostaliśmy np. jedzenie za darmo za to, że mieli od nas zysk. Miało się poczucie, że było to dobrze przemyślane pod kątem biznesowym i że Polacy potrafią docenić swojego klienta. Ta oferta przygraniczna była bardzo atrakcyjna, również pod względem jedzenia. Polacy naprawdę wspaniale gotują.

Dziś to właśnie jedzenie jest często elementem budowania opinii o Polakach wśród Czechów. Z jednej strony mamy do czynienia z antykampanią czeskich mediów, a z drugiej, próby polskich instytucji i dużą ilość akcji, także polsko-czeskich, aby ten wizerunek poprawić czy wręcz zmienić.

Myślę, że jedzenie jest głównym problem naszych dzisiejszych relacji. Do nas importowane jest polskie jedzenie gorszej jakości, to, które pochodzi z masowej produkcji. U nas się mówi, że Czesi nie potrafią kupować jedzenia lepszej jakości, wybierają to tańsze, a nasza dieta jest bardzo tłusta i niezdrowa. Niestety, bardzo często kształtujemy swój pogląd na was, przez to, jak się mówi o waszym jedzeniu tutaj. Jeśli jedzenie jest gorszej jakości, to Polacy też są gorsi. Mnóstwo Czechów nie miało kontaktu z Polakami, albo nie było w Polsce, a swoje zdanie opiera tylko na uprzedzeniach i na tym, co gdzieś usłyszało. Ja osobiście bardzo lubię polską kuchnię. Na przykład żurek, przyprawione mięsa i pierogi, to wyśmienite jedzenie.

Na koniec chciałabym nawiązać do czegoś przyjemniejszego. Nasze języki, z jednej strony podobne, a z drugiej tak różne, mogą być jednak tym co nas, Polaków i Czechów, do siebie zbliża. Podejrzewam, że będąc w Polsce używałeś czasami naszego języka. Jakie były reakcje lokalnych mieszkańców?

Niektórzy, np. w małych sklepach, bywali nieprzyjemni, złościli się, kiedy mnie nie rozumieli. Ale inni doceniali i chwalili, kiedy na przykład umiałem podziękować, albo znałem nazwy potraw. Ludzie reagowali różnie. Dlatego nie powiedziałbym, że wszyscy Polacy czy Czesi są tacy albo tacy, bo są po prostu różni.